


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Aleksander Puszkín

CÓRKA KAPITANA

**Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001**

Rozdział pierwszy

Sierżant gwardii

– Zostałby w gwardii jutro kapitanem.
– Nie trzeba tego: niech w armii posłuży.
– Niezgorzej powiedziano! Niech pocierpi...
Ale któż jest jego ojcem?

Kniaźnin

Ojciec mój, Andrzej Pietrowicz Griniow, służył w młodości przy hrabi Minichu i przeszedł w stan spoczynku w randze premier-majora w roku 17... Odtąd siedział w swojej wsi w sibirskiej guberni i ożenił się z panną Awdotią Wasiliewną J., córką miejscowego ubożego szlachcica. Było nas dziewięcioro dzieci. Bracia moi i siostry poumierali w niemowlęctwie.

Matka jeszcze nosiła mnie w brzuchu, kiedy zaliczono mnie z łaski majora gwardii, księcia B., do siemionowskiego pułku w szarży sierżanta. Major B. był naszym bliskim krewnym. Jeśliby zawiodły nadzieje i matka urodziłaby córkę, wówczas papa dałby znać, gdzie należało, o śmierci sierżanta, który się nie stawił, i cała sprawa na tym by się skończyła. Aż do ukończenia nauk figurowałem na liście pułku jako urlopowany. W owych czasach chowano nas nie po dzisiejszemu. W szóstym roku życia oddano mnie w ręce masztalerza Sawielicza, którego za trzeźwość mianowano moim piastunem. Pod jego okiem nauczyłem się w wieku lat dwunastu czytać i pisać po rosyjsku i byłem w stanie ocenić zalety charta. Wówczas to papa zaangażował do mnie Francuza, Mr. Beaupre, którego sprowadzono z Moskwy wraz z rocznym zapasem wina i oliwy prowansalskiej. Przyjazd tego pana mocno nie podobał się Sawieliczowi. „Chwała Bogu – mruczał pod nosem – dziecko zdaje się umyte, uczesane, nakarmione. Właśnie trzeba tracić pieniądze i wynajmować m u s j e,¹ jakby brak było swoich ludzi!”

Beaupre w ojczyźnie swojej był fryzjerem; służył potem w Prusach jako prosty żołnierz, przyjechał wreszcie do Rosji *pour etre*² n a o u t c h i t e l nie bardzo rozumiejąc, co to słowo znaczy. Był to dobry chłop, lecz wietrznik i wartogłów w najwyższym stopniu. Główną jego słabością był pociąg do płci pięknej; nierzadko za tkliwość swoją otrzymywał szturchańce, po których stękał całymi dniami. Nie był przy tym (według własnych słów) wrogiem butelki, tj. (mówiąc po naszymu) nie lubił wylewać za kołnierz. Ponieważ jednak wino podawano u nas tylko przy obiedzie, i to po kieliszku, przy czym omijano zwykle nauczyciela, mój Beaupre rad nierad dość prędko przyzwyczaił się do rosyjskiej nalewki i począł ją nawet wychwalać ponad wina ojczyste jako niepomiernie bardziej dla żołądka

¹ zniekształcone: *monsieur* – pan.

² żeby być

pożyteczną. Zżyliśmy się natychmiast i chociaż według umowy obowiązany tył uczyć mnie francuszczyzny, niemiezczyzny i wszystkich nauk, wolał jednak sam nauczyć się ode mnie paplać byle jak po rosyjsku, po czym każdy z nas zajmował się już swoimi sprawami. Żyliśmy w świętej zgodzie. Innego mentora nie pragnąłem wcale. Lecz wkrótce los nas rozłączył, a stało się to z powodów następujących:

Praczką Pałaszka, dziewczka tłusta i ospowata, oraz zezowata krowiarka Akulka zgłosiły się jakoś jednocześnie do mojej matki i rzuciwszy się jej do nóg, przyznały się do występnej słabości, oskarżając z płaczem *m u s j e* że nadużył ich niedoświadczenia. Matka nie lubiła żartów podobnych sprawach, poskarżyła się więc – ojcu. Sprawa z ojcem była krótka. Zawezwał natychmiast kanalię Francuza. Zameldowano, że *m u s j e* ma ze mną lekcję. Ojciec poszedł do mego pokoju. W tym właśnie czasie Beaupre spał na łóżku snem sprawiedliwego. Ja – zajęty byłem pracą. Trzeba wiedzieć, że sprowadzono dla mnie z Moskwy mapę. Wisiała ona na ścianie bez żadnego użytku i od dawna już kusiała mnie szerokością i dobrym gatunkiem papieru. Postanowiłem zrobić z niej latawiec i korzystając ze snu Beaupreego wziąłem się do dzieła. Ojciec wszedł w tej właśnie chwili, gdy przytwierdzałem ogon do Przylądka Dobrej Nadziei. Ujrzawszy moje ćwiczenia geograficzne, targnął mnie za ucho, po czym podbiegł do Beaupreego, zbudził go nader szorstko i zasypał wyrzutami. Zmieszany Beaupre chciał podnieść się i nie mógł: nieszczęsny Francuz był pijany jak bela. Siła złego na jednego. Ojciec podniósł go z łóżka za kołnierz, wypchnął za drzwi i tegoż dnia przepędził na cztery wiatry ku niewysłowionej radości Sawielicza. Na tym się skończyła moja edukacja.

Żyłem dalej jak Nidorostek, uganiając się za gołębiami i grając w *czecharde* z parobczakami. Tymczasem skończyłem lat szesnaście. Wtedy los mój uległ zmianie.

Pewnego razu jesienią matka smażyła konfitury z miodem, a ja oblizując się patrzyłem na kipiącą piankę. Ojciec przy oknie czytał „Kalendarz Dworski”, który przysyłano mu corocznie. Ta książka zawsze wywierała nań silny wpływ. Nigdy nie odczytywał jej obojętnie i lektura ta wywoływała w nim zawsze zadziwiające wzburzenie żółci. Znając na pamięć wszystkie zwyczaje i obyczaje męża, matka zawsze starała się ukryć nieszczęsną książkę jak najgłębiej i w ten sposób „Kalendarz Dworski” całymi nieraz miesiącami nie nasuwał się ojcu na oczy. Lecz gdy wpadł w jego ręce, wówczas ojciec godzinami zatapiał się w lekturze. Tak więc ojciec czytał „Kalendarz Dworski” wzruszając od czasu do czasu ramionami i mrużąc półgłosem: „Generał–porucznik... Był w mojej kompanii sierżantem... Obu orderów rosyjskich kawaler... A dawnoż to razem ze mną?...” Rzucił ojciec „Kalendarz” na kanapę i popadł w zadumę, nie wróżącą nic dobrego. Nagle zwrócił się do matki:

– Awdotio Wasiliewno, ileż to lat ma Pietia?

– A ot, zaczął siedemnasty roczek – odpowiedziała matka. – Urodził się, kiedy to paraliż tknął ciotkę Anastazję Gierasimownę i kiedy jeszcze...

– Dobrze – przerwał ojciec – czas mu już iść do wojska. Dość tej bieganiny za dziewczynami i włożenia na gołębnik.

Myśl o bliskiej ze mną rozłące tak dotknęła matkę, że upuściła łyżkę w rondelek i łzy popłynęły jej po twarzy. Natomiast trudno opisać mój zachwyty. Myśl o służbie zespoliła się we mnie z myślami o wolności, o rozkoszach życia w Petersburgu. Widziałem się już oficerem gwardii, co było według mnie szczytem ludzkiej szczęśliwości.

Ojciec nie lubił zmieniać swych postanowień ani też odwlekać ich spełnienia. Oznaczono datę mego wyjazdu. W przeddzień ojciec zapowiedział, że ma zamiar pisać w mojej sprawie do przyszłego mojego dowódcy i zażądał pióra i papieru.

– Nie zapomnij, Andrzeju Pietrowiczu – rzekła matka – kłaniać się i ode mnie księciu B., mam przecie nadzieję, że nie odmówi łaskowości naszemu Pieti.

– Co za głupstwo – odpowiedział ojciec chmurząc się – z jakiej racji mam pisać do księcia B.?

– Ależ powiedziałeś przecie, że raczysz pisać do dowódcy Pieti?
– No więc cóż z tego?
– Przecież ksiązę B. jest dowódcą Pieti. Pietia zapisany jest do pułku siemionowskiego.
– Zapisany! Cóż mnie obchodzi, że zapisany? Pietia nie do Petersburga jedzie. Czegóż on się nauczy służąc w Petersburgu? Tracić pieniądze i hulać? Nie, niech posłuży pierwej w armii, popracuje, powącha prochu, by wyrobił się na żołnierza, nie na gwardyjskiego firecyka! Zapisany! Gdzie jego paszport? Daj mi go tu.

Matka znalazła paszport, schowany w jej szkatułce razem z koszulką, w której byłem chrzczony, i drżącą ręką wręczyła go ojcu. Ojciec przeczytał go uważnie, położył przed sobą na stole i zabrał się do pisania listu.

Ciekawość dręczyła mnie. Dokądże to mnie wysyłają, jeśli nie do Petersburga? Nie odrywałem oczu od ojcowskiego pióra, które poruszało się dość wolno. Skończył wreszcie, zapieczętował list razem z paszportem, zdjął okulary i wezwawszy mnie powiedział: „Oto masz list do Andrzeja Karłowicza R., starego mojego kolegi i przyjaciela. Jedziesz do Orenburga, by służyć pod jego dowództwem”.

Tak więc wszystkie moje świetne nadzieje rozpadły się w gruzy. Zamiast wesołego życia w Petersburgu czekała mnie nuda w dalekiej głuchej prowincji. Służba, o której przed chwilą myślałem z takim zachwytem, wydała mi się ciężkim nieszczęściem. Lecz próżno byłoby się opierać. Nazajutrz rankiem przed ganek zajechała kibitka podróżna; ułożono w niej kufer, puzdro z przyborami do herbaty oraz zawiniątko pełne bułek i pierogów – ostatnich oznak rozkoszy domowych. Rodzice pobłogosławili mnie. Ojciec powiedział: „Żegnaj, Piotrze, słuź wiernie temu, komu przysięgniesz, słuchaj zwierzchników: o ich łaski nie zabiegaj; nie napieraj się służby, lecz i nie wymawiaj się od niej, i pomnij na przysłowie: «Strzeż ubrania, póki nowe, a honoru od młodu»”. Matka ze łzami zalecała mi dbać o zdrowie, a Sawieliczowi – czuwać nad dziećciem. Ubrali mnie w kubrak zajęczy, na wierzch zaś włożyli lisie futro. Siadłem do kibitki z Sawieliczem i ruszyłem w drogę, zalewając się łzami.

Tejże nocy przyjechałem do Symbirsk, gdzie miałem spędzić całą dobę celem zakupu potrzebnych rzeczy co było polecone Sawieliczowi. Zatrzymałem się w oberży. Sawielicz od rana poszedł do sklepów. Znudziło mnie patrzeć z okna na brudny zaułek, począłem więc wałęsać się po wszystkich pokojach. W sali bilardowej ujrzałem wysokiego pana lat trzydziestu pięciu, w szlafroku, z długimi czarnymi wąsami, z kijem bilardowym w rękę i fajką w zębach. Grał z markierem, który w razie wygranej wypijał kieliszek wódki, po przegranej zaś musiał na czworakach przeciskać się pod bilardem. Zacząłem przyglądać się grze. Im dłużej trwała, tym częściej zdarzały się spacery na czworakach, dopóki wreszcie markier nie pozostał pod bilardem. Pan wypowiedział nad nim kilka mocnych słówek zamiast mowy pogrzebowej i zaproponował mi partię. Odmówiłem tłumacząc się nieznamościami gry. Wydało mu się to widocznie dziwne. Spojrzał na mnie jakby z politowaniem, rozgadaliśmy się jednak. Dowiedziałem się, że nazywa się Iwan Iwanowicz Zurin, że jest rotmistrzem w *** pułku huzarów i asystuje w Symbirsku przy poborze rekruta, a stoi tu w oberży. Zurin zaproponował mi, byśmy wspólnie zjedli obiad, ot taki, jak Bóg dał, żołnierski. Zgodziłem się chętnie. Siedliśmy do stołu. Zurin pił dużo i częstował mnie, tłumacząc przy tym, że należy przyzwyczaić się do służby; opowiadał anegdoty wojskowe, a ja, słuchając, niemal tarzałem się ze śmiechu. Wstaliśmy od stołu jako zdecydowani przyjaciele. Wtedy podjął się nauczyć mnie gry w bilard. „Jest to – mówił – rzecz konieczna u nas w wojsku. Przyjedziesz na przykład do miasteczka. – czym tu się zająć? Nie wystarczy przecie ciągle bić Żydów. Mimo woli zajdziesz do oberży i zagrasz w bilard; no, ale trzeba umieć grać!” Przekonał mnie zupełnie i nader pilnie wziętem się do nauki. Zurin głośno zachęcał, podziwiał szybkie moje postępy i po kilku lekcjach zaproponował grę na pieniądze, po groszu, nie dla wygranej, ale ot tak sobie, byle tylko nie grać za darmo, bo to, jego zdaniem, najgorsze przyzwyczajenie. Zgodziłem się. Zurin kazał dać ponczu i namówił mnie, bym spróbował, powtarzając wciąż,

że należy zaprawiać się do służby, a cóż warta służba bez ponczu! Posłuchałem go. Gra tymczasem trwała. Im częściej pociągałem z mojej szklanki, tym bardziej wzbierała we mnie odwaga. Kule co chwila wyskakiwały z bilardu, gorączkowałem się, wymyślałem markierowi, który liczył Bóg wie po jakimu, zwiększałem stawkę z godziny na godzinę, słowem – zachowywałem się jak uczeń, co wyrwał się na swobodę.

Czas mijał tymczasem niepostrzeżenie. Zurin spojrzął na zegarek, położył kij i oznajmił, że przegrałem sto rubli. Zmieszało mnie to cokolwiek. Pieniądze moje miał Sawielicz. Zacząłem się usprawiedliwiać. Zurin przerwał mi: „Ależ nie niepokój się. Mogę przecież poczekać, a tymczasem pojedziemy do Arinuszki”.

No cóż! Dzień skończył się równie bezmyślnie, jak się zaczął. Kolację zjedliśmy u Arinuszki. Zurin wciąż mi dolewał przygadując, że należy przyzwyczajać się do służby. Wstałem od stołu, ledwo trzymając się na nogach; o północy Zurin odwiózł mnie do oberży.

Sawielicz czekał na nas na ganku. Jęknął spostrzegłszy niewątpliwe oznaki mego przejęcia się obowiązkiem służby. „Cóż to, paniczu, z tobą się stało? – rzekł żałośliwym głosem. – Gdzież to się ululałeś? Och, Panie Boże! Jak żyję, takiego grzechu u nas nie bywało!” – „Milcz zrędo! – odparłem zacinając się – pewnoś się upił; idź spać... i pomóż mi się rozebrać”.

Zbudziłem się nazajutrz z bólem głowy, mętnie przypominając sobie wczorajsze przygody. Rozmyślenia moje przerwał Sawielicz przynosząc mi kubek herbaty. „Wcześniej, Piotrze Andrieiczu – rzekł kiwając głową – wcześniej hulać zaczynasz. I w kogo się wrodziłeś? Przecież ojciec ani dziad twój nie byli pijakami; o matuchnie nie ma co i mówić: odkąd żyję, nic prócz kwasu nie raczyła wziąć do ust, ani kropli. A kto temu wszystkiemu winien? Przeklęty m u s j e. Co i rusz, bywało, przybiegnie do Antypiewny: «M a d a m, ż e w u p r i w ó d k j u !». ³ Ot i masz «ż e w u p r i !» Nie ma co, doprowadził, psi syn. I trzebaż było brać wychowawcę bisurmana! Jakby brakło naszemu panu swoich ludzi!”

Wstyd mi było. Odwróciłem się i odpowiedziałem: „Idź sobie, Sawielicz, nie chcę herbaty”. Lecz niełatwo było poskromić starego, gdy raz zaczął kazanie. „Ot, widzisz, Piotrze Andrieiczu, co znaczy rozhulać się. I w główce ciężar, i jeść się nie chce. Pijanica nie zda się na nic... Napij się soku ogórkowego z miodem, a najlepiej byłoby wybić klin klinem – pół szklaneczki nalewki. Czy nie rozkażesz?”

W tej chwili wszedł chłopczyk i podał mi kartkę od I.I.Zurina. Rozwinąłem ją i wyczytałem, co następuje:

„...Kochany Piotrze Andrieiczu, proszę uprzejmie, przyślij mi przez chłopca przegrane wczoraj sto rubli. Pieniądze są mi na umór potrzebne.

Sługa unizony
Iwan Zurin”.

Cóż było począć. Zrobiłem obojętną minę i zwracając się do Sawielicza, który był stróżem „moich pieniędzy i bielizny, i spraw wszelkich”, kazałem dać chłopcu sto rubli. „Co? Jak?” – spytał zdumiony Sawielicz. „Zadłużyłem się u niego” – odpowiedziałem możliwie najchłodniej. „Zadłużyłem się! – powtórzył Sawielicz, coraz bardziej zdumiony – lecz kiedyż to, panie, zdażyłeś się zadłużyć? Coś w tym jest niedobrego. Wola twoja, panie, lecz pieniędzy nie dam!”

Pomyślałem sobie, że jeśli nie przemogę w tej chwili upartego starca, to w przyszłości trudno mi będzie wyzwolić się spod jego kurateli; spojrzałem więc dumnie na niego i rzekłem: „Jam twój pan, tyś mój sługa. Pieniądze są moje. Przegrałem je, bo mi się tak podobało; a tobie radzę nie mędrkować, lecz robić, co ci każe”.

Sawielicz był tak uderzony moimi słowami, że klasnął w ręce i osłupiał. „Czego stoisz?” –

³ zniekształcone: *Madame, je vous prie...* – proszę panią o...

krzyknąłem gniewnie. Sawielicz zapłakał. „Dobrodzieju mój, Piotrze Andrieiczu – przemówił głosem drżącym – nie każ mi skisnąć ze smutku. Światło ty moje! Posłuchaj mnie, starego: napisz do tego zbója, żeś żartował, że nie mamy nawet tak dużych pieniędzy. Sto rubli! Boże mój miłosierny! Powiedz, że ci rodzice surowo zabronili grać, chyba na orzechy...” – „Dość gadaniny – przerwałem ostro – dawaj pieniądze albo cię na łeb wypędzę”.

Sawielicz spojrział na mnie z głębokim smutkiem i poszedł po pieniądze. Żał mi się zrobiło biednego staruszka, lecz chciałem wyzwolić się i dowieść, że już nie dziecko. Pieniądze dostarczono Zurinowi. Sawielicz pośpieszył wywieźć mnie z przeklętej oberży. Zjawił się z wiadomością, że konie gotowe. Z nieczystym sumieniem i milczącą skruchą wyjechałem z Symbirska, nie pożegnawszy się z moim nauczycielem i nie sądząc, abym miał się z nim kiedykolwiek spotkać.

Rozdział drugi

Przewodnik

*Kraino ty moja, kraino Kraino nieznaną!
Ani sam nie przyszedłem do ciebie,
Ani koń dzielny mnie tu nie przywiózł –
Zawiozła tu mnie, dzielnego junaka,
Rączość i zuchwałość junacka,
I lekkomyślność pijacka.*

Staroświecka pieśń

Rozmyślenia moje w podróży niezbyt były przyjemne. Przegrana według cen ówczesnych była dość znaczna. Nie mogłem nie uznać w duszy, że moje zachowanie się w sibirskiej traktierni było głupie, i czułem się winien wobec Sawielicza. Wszystko to mnie dręczyło. Stary siedział posepnie na koźle, odwróciwszy się ode mnie, i milczał pochrząkując tylko z rzadka. Pragnąłem koniecznie pogodzić się z nim i nie wiedziałem, od czego zacząć. Wreszcie powiedziałem.

– No, no, Sawielicz, dość już. Pogódźmy się, zawiniłem; sam widzę, że zawiniłem. Narobiłem wczoraj głupstw a ciebie obraziłem niesłusznie. Obiecuję na przyszłość mądrzej się zachowywać i słuchać ciebie. No, nie gniewaj się, pogódźmy się.

– Eh, dobrodzieju Piotrze Andrieiczu! – odpowiedział wzdychając głęboko. – Zły jestem na siebie: sam jestem winien, stary głupiec. Jakżeż to ja mogłem zostawić cię samego w oberży? Cóż robić? Złe skusiło! Zachciało mi się powlec do diaczychy, odwiedzić kumę. Tak to, tak: zaszedł do kumy – trafił do turmy! Nieszczęście i tyle. Jak to ja stanę teraz przed oczami moich państwa? Co zrobią, jak im powiem, że dziecko gra i pije?

Żeby pocieszyć biednego Sawielicza, dałem mu słowo nigdy odtąd bez jego wiedzy nie dysponować nawet jedną kopiejką. Stopniowo uspokoił się, lecz jeszcze mruczał od czasu do czasu, kiwając głową: „Sto rubli! Mała rzecz!”

Zbliżałem się do celu mej podróży. Wokół rozpościerała się smutna pustynia, przecięta wzgórkami i wądołami. Śnieg pokrywał wszystko. Słońce zachodziło. Kibitka mknęła wąską drogą albo raczej śladem wyżłobionym przez chłopskie sanie. Nagle woźnica jął rozglądać się dokoła i wreszcie, zdjawszy czapkę, zwrócił się ku mnie ze słowami:

– Panie, czy nie każesz zawrócić?

– A to po co?

– Czas niepewny: wiatr się zrywa, o, jak zmiata śnieg.

– Cóż w tym złego?

– A widzisz, panie, ot tam?

Woźnica wskazał batem na wschód.

– Nic nie widzę prócz białego śniegu i jasnego nieba..

– A ot, ot: ten obłoczek!

Ujrzałem w istocie na skraju nieba biały obłoczek, który miałem początkowo za oddalony wzgórek. Woźnica objaśnił mi, że obłoczek zapowiada buran. Słyszałem o tamecznych zamieciach i wiedziałem, że zasypywały śniegiem całe karawany. Zgodnie z poradą woźnicy, Sawielicz był za powrotem. Lecz wiatr wydał mi się niezbyt mocny; nabrałem nadziei, że zdążymy na czas do następnej stacji, i rozkazałem popędzać konie.

Kibitka pomknęła, lecz woźnica wciąż spoglądał na wschód. Konie biegły cwałem. Wiatr z każdą chwilą nabierał mocy. Obłoczek stał się białą chmurą, która zwiększała się, ciężko pełznąca w górę, i stopniowo powlokła niebo. Począł sypać drobny śnieg i nagle jął walić płatami. Zawył wichur, rozszalała się zawierucha. W jednej chwili ciemne niebo zmieszało się z morzem śniegu. Wszystko znikło.

– No, panie – krzyknął woźnica – nieszczęście, buran!

Wyjrzałem z kibitki: mrok i wichur naokół;

Wiatr wył z tak wściekłą siłą, że wydawał się żywą istotą; śnieg zasypał mnie i Sawielioza; konie szły coraz wolniej i wreszcie stanęły.

– Czemu nie jedziesz? – spytałem zniecierpliwiony woźnicę.

– Jak tu jechać? – odparł złażąc z kozła. – Niewiada, gdzieśmy zajechali: drogi nie widać, ćma dokoluteńko.

Zacząłem nań krzyczeć. Sawielicz ujął się za nim.

– Ze też pan nie posłuchał – mówił gniewnie – wróciłoby się do zajazdu, napiłby się pan do syta herbaty, odpoczął do ranka, burza by ucichła, pojechalibyśmy dalej. I dokąd tak spieszo? Gdybyż to jeszcze na weselisko!

Miał słuszność. Nie było rady. Śnieg walił i walił. Wokół kibitki rosły zasy. Konie stały ze zwieszonymi łbami, drgając od czasu do czasu. Woźnica kręcił się koło sań i nie mając nic do roboty porządkował uprząż. Sawielicz mruczał; ja – rozglądałem się na wszystkie strony w nadziei, że ujrzę gdzieś oznakę życia lub ślady drogi; lecz nic nie mogłem dostrzec prócz mętnego wiru zawieruchy... Nagle ujrzałem coś czarnego.

– Hej, woźnico! – krzyknąłem – patrz: co tam się czerni?

Woźnica począł wpatrywać się.

– A Bóg wie, panie – rzekł siadając na miejscu – wóz nie wóz, drzewo nie drzewo, lecz zdaje się, że się rusza. Widno, człowiek albo wilk.

Kazałem jechać w kierunku nieznanego przedmiotu, który natychmiast posuwać się począł w naszą stronę. Po dwóch minutach natknęliśmy się na człowieka.

– Hej, dobry człowieku! – krzyknął doń woźnica. – Powiedz, czy nie znasz tu drogi?

– Droga tu, stoję na twardym gruncie – odparł podróżny – ale co z tego?

– Słuchaj, chłopie – powiedziałem – czy znasz tę okolicę? Czy podejmiesz się dowieźć mnie do noclegu?

– Okolicę znam – odparł podróżny – chwała Bogu, schodziłem ją i zjeździłem wzdłuż i wszerz. Ale widzisz jaka pogoda: ani się obejrzysz, jak zjedziesz z drogi. Lepiej zatrzymać się tu i przeczekać, a nuż przycichnie burza i rozjaśni się; znajdzie się wtedy droga według gwiazd.

Zimna krew nieznanego ośmieliła mnie. Postanowiłem, zdając się na wolę boską, nocować w stepie, gdy nagle podróżny siadł z ręcznie na kozłę i rzekł do woźnicy:

– No, chwała Bogu, ludzie niedaleko. Skręcaj na prawo i jazda.

– Czemu to mam jechać na prawo? – spytał woźnica niezadowolony. – Gdzie tu widzisz drogę? Mądryś! Konie cudze, zaprzęg nie twój, popędzaj, nie stój.

Wydało mi się, że woźnica ma słuszność.

– W rzeczy samej – rzekłem – z czego wnosisz, że ludzie niedaleko?

– A bo wiatr pociągnął stamtąd – odparł podróżny – i czuję: dymem zapachniało;

widocznie wieś blisko.

Spostrzegawczość jego i subtelność węchu zdumiały mnie. Kazałem jechać. Konie z trudem brnęły w głębokim śniegu. Kibitka z wolna sunęła, raz wjeżdżając w zaspę, to znów zsuwając się w rozpadlinę, i chwiała się to na jedną, to na drugą stronę. Robiło to wrażenie podróży łodzią po wzburzonym morzu. Sawielicz stękał, co chwila tłukąc się o mój bok. Opuściłem kaptur, opatuliłem się i zdrzemnąłem, ukołyszany śpiewem burzy i chwianiem powoli sunącej kibitki.

Przyśnił mi się sen, którego nigdy nie mogłem zapomnieć i w którym do dziś dnia widzę coś proroczego, gdy porównuję z nim dziwne koleje mojego żywota. Wybacz mi to czytelnik wiedząc zapewne z doświadczenia, jak wrodzona jest człowiekowi wiara w cudowność, bez względu na wszelką pogardę dla przesądów.

Umysł mój i dusza znajdowały się w takim stanie, gdy jawa, ustępując pod naporem marzeń, zlewa się z nimi w niejasnych majakach pierwszego snu. Zdawało mi się, że buran sroży się jeszcze i że wciąż błądzimy po śnieżnej pustyni. Nagle ujrzałem wrota i wjechałem na podwórzec naszego dworu. Pierwszą moją myślą było, żeby ojciec nie rozgniewał się na mnie za mimowolny powrót pod dach rodzicielski i żeby nie wziął tego za nieposłuszeństwo. Niespokojny, wyskoczyłem z kibitki i widzę: na ganku spotyka mnie matka z głębokim smutkiem na twarzy, „Ciszej – mówi – ojciec jest chory, konający i pragnie widzieć się z tobą”. Rażony trwogą, idę za nią do sypialni. Widzę: pokój słabo oświetlony; u wezglowia stoją ludzie ze smutnymi twarzami. Po cichutku podchodzę do łóża; matka podnosi zasłonę i mówi: „Andrzeju Pietrowiczu, Pietia przyjechał; wrócił dowiedziawszy się o twojej chorobie, pobłogosławił go”. Ukląknęłam i zwróciłam oczy na chorego. I cóż?... Zamiast ojca widzę w łóżku chłopca z czarną brodą, wesoło na mnie spoglądającego. Zdumiony, zwracam się do matki i mówię: „Cóż to znaczy? To nie ojciec. I z jakiej racji prosić mam o błogosławieństwo chłopca?” „Wszystko jedno, Pietia – odparła matka – to twój przybrany ojciec; pocałuj go w rękę i niech cię pobłogosławi...” Opierałam się. Chłop wtedy wyskoczył z łóżka, wyrwał zza pleców topór i jął nim machać na wszystkie strony. Chciałem uciec... nie mogłem. Pokój zapelniał się martwymi ciałami; potykałem się o trupy i ślizgałem w kałużach krwi... Straszny chłop łaskawie wołał na mnie, mówiąc: „Nie lękaj się, przyjmij moje błogosławieństwo!” Ogarnęła mnie trwoga i zdumienie... I w tej chwili obudziłem się; konie stanęły. Sawielicz targał mnie za rękę, mówiąc:

– Wychodź, panie, przyjechaliśmy!

– Dokąd? – spytałem przecierając oczy.

– Do zajazdu. Pan Bóg czuwał, wpadliśmy wprost na płot. Wychodź, panie, prędzej i ogrzej się.

Wysiadłem z kibitki. Burza srożyła się wciąż, choć z mniejszą już siłą. Było tak ciemno, że choć oko wykol; Gospodarz powitał nas u wrót, trzymając latarnię pod połą, i wwiódł mnie do świetlicy ciasnej, lecz dość czystej; oświetlała ją łuczywo. Na ścianie wisiała gwintowana strzelba oraz wysoka czapka kozacka.

Gospodarz, Kozak jaicki z rodu, wyglądał na lat sześćdziesiąt, lecz czerstwy był jeszcze i dziarski. Sawielicz wniósł puzdro z przyborami, kazał rozniecić ogień na herbatę, która nigdy jeszcze nie wydawała mi się tak pożądana. Gospodarz zakrzętnął się.

– A gdzie przewodnik? – spytałem Sawielicza.

– Tu, wasza wielmożność – odpowiedział mi głos z góry.

Spojrzałem na wyżkę i ujrzałem czarną brodę i parę błyszczących oczu.

– Cóż, bracie, zziębłeś?

– Jak tu nie zziębnąć w jednym cieniutkim kubraczku! Miałem kozuch, ale co tu gadać – zastawiłem u szynkarza wieczorem: mróz wydawał się niewielki.

W tej chwili wszedł gospodarz z kipiącym samowarem: zaproponowałem przewodnikowi filiżankę herbaty; chłop zlął z wyżki. Powierzchność jego wydała mi się godna uwagi. Lat

miął czterdzieści, wzrost średni; był szczupły, lecz szeroki w barach. W czarnej brodzie pokazywała się tu i ówdzie siwizna; wielkie, żywe oczy biegały nieustannie. Twarz miała wyraz dość przyjemny, lecz szelmowski; włosy ostrzyżone na okrągło; okrywał go podarty kubrak, szarawary miał tatarskie. Poczęstowałem go filiżanką herbaty. Spróbował i skrzywił się.

– Wasza wielmożność, zrób łaskę... każ mi dać szklanę wódki; herbata – to nie nasz, nie kozacki trunek.

Z chęcią uczyniłem zadość jego; żądaniu. Gospodarz wyjął z szafy butelkę i szklaneczkę, podszedł doń i spojrzawszy mu w twarz powiedział:

– Ehe, ty znów w naszych stronach! Skąd to Bóg prowadzi?

Przewodnik mruknął znacząco i odrzekł:

– Po sadzie latałem, konopie dziobałem, rzuciła babcia kamykiem, lecz przeleciał bokiem. No, a jak tam wasi?

– Co tam nasi! – odparł gospodarz równie tajemniczo – na nieszpór chcieli dzwonić, lecz popadła nie każę: pop w gościnie, diabli w kruchcie.

– Milcz, kochasiu – zaprzeczył mój włóczęga – deszczyk spadnie, grzybki wyrosną, a jak grzybki wyrosną, znajdzie się i koszyk; a teraz – tu znów mrugnął okiem – siekierę na plecy: leśnik chodzi. Zdrowie waszej wielmożności!

Przy tych słowach ujął szklanę, przeżegnał się i wypił jednym łykiem, po czym uklonił mi się i wrócił na wyżkę.

Nie mogłem nic zrozumieć z tego zbójckiego żargonu, później dopiero domyśliłem się, że rzecz dotyczyła wojska jaickiego, dopiero co uśmierzonego po buncie 1772 roku. Sawielicz słuchał z wielkim niezadowoleniem. Spoglądał podejrzliwie na gospodarza, to znów na przewodnika. Zajazd, czyli według gwary tamecznej: u m i o t, znajdował się na ustroniu, w stepie, z dala od miejsc zamieszkałych i bardzo przypominał zbójczą jaskinię. Lecz nie było rady. O dalszej podróży nie można było nawet myśleć. Niepokój Sawielicza bawił mnie niepomiernie. Tymczasem udałem się na spoczynek: wyciągnąłem się na ławie. Sawielicz postanowił ulokować się na piecu; gospodarz legł na podłodze. Wkrótce cała izba zachrapała i ja zasnąłem jak zabity.

Gdy zbudziłem się rankiem dość późno, spostrzegłem, że burza ucichła. Słońce jaśniało. Śnieg leżał oślepiającą powłoką na niezmiernym stepie. Konie były zaprzężone. Zapłaciłem gospodarzowi, który podał rachunek tak umiarkowany, że nawet Sawielicz nie targował się z nim, wbrew swemu zwyczajowi, i wczorajsze podejrzenia zupełnie wywietrzały mu z głowy. Wezwałem przewodnika, podziękowałem mu za przysługę i kazałem Sawieliczowi dać mu pół rubla na wódkę. Sawielicz nachmurzył się.

– Pół rubla na wódkę! – powiedział. – Za co? Za to, że pan raczył podwieźć go do zajazdu? Wola twoja, panie, nie mam zbywających pieniędzy. Daj każdemu na wódkę, sam przymrzesz głodem.

Nie mogłem sprzeczać się z Sawieliczem. Pieniądze, zgodnie z moją obietnicą, były w zupełnym jego rozporządzeniu. Gniewało mnie jednak, że nie mogę odwdziżyć się człowiekowi, który uratował mnie jeśli nie od nieszczęścia, to przynajmniej od wielkiej nieprzyjemności.

– Dobrze – rzekłem zimno – skoro nie chcesz dać pół rubla, to wydobądź co z mojego ubrania. Przewodnik jest zbyt lekko odziany. Daj mu mój kubrak zajęczy.

—Zmiłujże się, dobrodzieju, Piotrze Andrieiczu! – rzekł Sawielicz. – A po cóż mu twój kubrak zajęczy? Przepije go, pies, w pierwszym z brzegu szynku.

– Niech cię o to głowa nie boli, staruszkule – rzekł mój włóczęga – przepiję czy nie. Jego wielmożność futro z własnego grzbietu daje mi łaskawie, bo taka jego pańska wola, a twoje chłopskie prawo słuchać i nie opierać się.

– Boga nie, boisz się, zbójcu! – odparł Sawielicz głosem gniewnym. – Widzisz, że dziecko

nie rozumie jeszcze, i rad jesteś obrać je dla jego prostoty. Na cóż ci kubraczek pański? Nie wciągniesz go nawet na swe pleczyska przekłete.

– Proszę nie mędrkować – powiedziałem do mojego opiekuna – przynieść mi tu natychmiast mój kubrak.

– Panie święty! – zajęczał mój Sawielicz.– Kubrak zajęczy, nowiuteńki prawie! I choćby komu dobremu, a to obdartus i pijanica!

Kubrak wszelako zjawił się. Chłopak jął go od razu przymierzać. Kubrak, z którego i ja już wyrosłem, był istotnie nieco ciasny. Włóczęga jednak jakoś się zmądrzył i odział weń, rozpruwszy go na szwach. Omal nie zawył Sawielicz słysząc, jak nitki trzeszczą. Włóczęga był nadzwyczaj zadowolony z mego podarunku. Odprowadził mnie do kubitki i rzekł, nisko kłaniając się:

– Dziękuję, wasza wielmożność! Niech Bóg nagrodzi cię za twoją dobroć. Do końca życia nie zapomnę łaski pańskiej.

Poszedł swoją drogą, ja zaś udałem się w dalszą podróż nie zwracając uwagi na Sawielicza; wprędce też zapomniałem o wczorajszej zamieci, o moim przewodniku i o zajęczym kubraku.

Po przybyciu do Orenburga udałem się wprost do generała. Ujrzałem mężczyznę wysokiego, lecz już zgarbionego ze starości. Długie jego włosy były zupełnie białe. Stary, wytarty mundur przypominał wojownika z czasów Anny Joannowny, mowa zaś mocno trąciła niemieckim akcentem. Wręczyłem mu list ojca. Gdym wspomniał jego nazwisko, spojrział na mnie bystro.

– Poże mój! – rzekł – tawnoż to Andrzej Pietroficz był w tfoim fieku, a teras ot, jakiego ma sucha! Ach, czas, czas! – Rozpieczętował list i jął go czytać półgłosem, czyniąc swe uwagi: – „Szanowny Panie, Andrzeju Karłowiczu, mam nadzieję, że Wasza Ekscelencja...” A to co za ceremonie? Fuj, jak mu nie wstyd. Dyscyplina, rozumie się, pierwsza rzecz, ale czy tak się pisze do starego kamrata?... „...Wasza Ekscelencja nie zapomniała...” hm... „...i kiedy... nieboszczyk feldmarszałek Min... wyprawie... także i... Karolinę...” Ehe, Bruder! więc pamięta jeszcze stare nasze swawole? „Teraz do rzeczy... do pana mojego urwisa...” hm... „trzymać żelazną ręką...” Co to znaczy: żelazną ręką? Widocznie to takie przysłowie. Co znaczy: trzymać żelazną ręką? – powtórzył zwracając się do mnie.

– To znaczy – odpowiedziałem z miną niewiniątka – traktować łaskawie, niezbyt surowo, dawać jak najwięcej wolności, trzymać żelazną ręką.

– Hm... rozumiem... „i nie dawać mu swobody...” nie, widocznie żelazna ręka to co innego... „Przy niniejszym jego paszport...” Gdzież on? A, tak... „zapisać do siemianowskiego...” Dobrze, dobrze, wszystko się zrobi... „Pozwolisz bez ceremonii uściskać cię i... starym towarzyszem i przyjacielem” no, domyślił się nareszcie!... itd. itd. ... No, mój panie – dodał po przeczytaniu listu, odkładając na stronę mój paszport – wszystko się zrobi: przeniesiemy cię w randze oficera do *** pułku i żeby czasu nie tracić, jedź jutro do twierdzy Bielogorskiej, gdzie będziesz pod dowództwem kapitana Mironowa, dobrego i honorowego człowieka. Znajdziesz się tam na prawdziwej służbie, nauczysz się dyscypliny. W Orenburgu nie masz co robić. Nadmiar rozrywek szkodliwy jest dla młodzieńca. A dzisiaj proszę uprzejmie do mnie na obiad.

„Coraz gorzej! – myślałem – na cóż mi się zdało, że jeszcze prawie w łonie matki byłem sierżantem gwardii! Do czego mnie to doprowadziło? Do *** pułku i do zapadłej forteczki na granicy stepów kirgiz-kajsackich!” Zjadłem obiad u Andrzeja Karłowicza we trójkę ze starym jego adiutantem. Surowa niemiecka oszczędność panowała przy jego stole i sądzę, że obawa zbyt częstego widywania zbyt celnego gościa u stołu bezżennego gospodarza była po części przyczyną pośpiesznej wysyłki do garnizonu. Nazajutrz pożegnałem generała i udałem się na wyznaczone mi miejsce.

Rozdział trzeci

Twierdza

*W fortalicji sobie żyjem
Chlebek jemy, wodę pijem,
A gdy przyjdą do nas wrogi
W odwiedziny, na pierogi,
Sprawim ucztę im bogatą:
Przywitamy ich armatą.*

Pieśń żołnierska

*Staroświeccy ludzie, dobrodzieju
Niedorostek*

Twierdza Biełogorska znajdowała się w odległości czterdziestu wiorst od Orenburga. Droga biegła urwistym brzegiem Jaiku. Rzeka nie zamarzła jeszcze i ołowiane jej fale pokryte białym śniegiem smutnie czerniały w oprawie jednostajnych brzegów. Dalej rozścielały się stopy kirgiskie. Zatopiłem się w gorzkich przeważnie rozmyślaniach. Życie garnizonowe niewiele miało dla mnie powabu. Staralem się wyobrazić sobie mego przyszłego zwierzchnika, kapitana Mironowa, i widziałem go jako surowego, gniewnego starca, nie interesującego się niczym prócz swojej służby i gotowego za lada bagatelkę zamykać mnie do aresztu o chlebie i wodzie. Tymczasem zaczęło się zmierzchać. Jechaliśmy dość szybko.

– Czy daleko do twierdzy – spytałem woźnicę.

– Niedaleko – odparł – ot; już widać. Rozglądałem się dokoła, sądząc, że ujrzę groźne bastiony, baszty i wały, lecz nic nie widziałem z wyjątkiem wioski, otoczonej drewnianym płotem. Z jednej strony widniały trzy lub cztery stogi siana, na poły zawiane śniegiem, z drugiej – pochylony wiatrak z leniwie opuszczonymi skrzydłami.

– A gdzież twierdza? – spytałem zdziwiony.

– A tutaj – odparł woźnica wskazując wieś i w tej chwili wjechaliśmy do niej.

We wrotach ujrzałem starą armatę spiżową, dalej ulice krzywe i ciasne, chaty niskie i przeważnie kryte słomą. Kazałem jechać do komendanta i po chwili kibitka zatrzymała się przed drewnianym domkiem, stojącym na wzniesieniu w pobliżu drewnianej również cerkwi.

Nikt nie wyszedł mi na spotkanie. Wszedłem do sieni i otwarłem drzwi do przedpokoju. Stary inwalida, siedząc na stole, naszywał niebieską łatę na łokieć zielonego munduru. Poleciałem, by mnie zameldował.

– Wejdz, dobrodzieju – odparł inwalida – nasi w domu.

Wszedłem do czyściutkiego pokoiku umeblowanego po staroświecku. W kącie stała szafa z naczyniami; na ścianie wisiał dyplom oficerski w ramce i za szkłem; obok jaśniały obrazki jarmarczne, przedstawiające wzięcie Kistrzyna i Oczakowa, a również wybór narzeczonej i pogrzeb kota. Pod oknem siedziała staruszka w ciepłym kabaciku i chustce na głowie. Rozmotywała nici, które, rozłożywszy ręce, trzymał jednooki staruszek w oficerskim mundurze.

– Czego sobie życzysz, kochasiu? – spytała nie przerywając swego zajęcia.

Odpowiedziałem, że przyjechałem na służbę i jak obowiązek każe, przyszedłem przedstawić się panu kapitanowi; z tymi słowami zwróciłem się do jednookiego staruszka, biorąc go za komendanta; lecz gospodyni przerwała mi wyuczoną orację.

– Iwana Kuźmicza nie ma w domu – powiedziała – poszedł z wizytą do ojca Gierasima; ale wszystko jedno, dobrodzieju, jestem jego żoną. Proszę uprzejmie bez ceremonii. Siądnij, dobrodzieju.

Przywołała dziewczynę i kazała jej wezwać podoficera. Staruszek ciekawie spoglądał na mnie jedynym swym okiem.

– Ośmielę się spytać – rzekł – w jakim pułku pan raczył służyć? Zaspokoilem jego ciekawość.

– A ośmielę się zapytać – ciągnął – dlaczego to raczył pan przenieść się z gwardii do garnizonu? Odparłem, że taka była wola zwierzchności.

– Widocznie za uczynki, które nie przystoją oficerowi gwardii... – ciągnął dalej niezmordowany rozpytywacz.

– Dość gadaniny, głupstwo – odezwała się kapitanowa – widzisz, że młodzieniec zmęczony podróżą; nie w głowie mu rozmowa... Trzymajże ręce prosto... A ty, dobrodzieju – mówiła zwracając się do mnie – nie martw się, że cię zagnali do naszego partykularza. Nie pierwszy jesteś i nie ostatni. Pocierpisz, przywykniesz. Szwabrin, Aleksy Iwanowicz – ot, już piąty rok, jak przeniesiony został do nas za zabójstwo. Bóg wie, jakie lichy go opętało: pojechał ci on, widzisz, za miasto z jednym porucznikiem, a wzięli ze sobą szpady, no i zaczęli żgać jeden drugiego; Aleksy Iwanycz zakłuł porucznika i to jeszcze przy dwóch świadkach! Cóż chcesz? Do grzechu każdy majster!

W tej chwili wszedł podoficer, młody i postawny Kozak.

– Maksimycz! – rzekła doń kapitanowa. – Wyznacz kwaterę panu oficerowi, byle porządną.

– Słucham, Wasiliso Jegorowno – odparł podoficer. – Może umieścić jego wielmożność u Iwana Poleżajewa?

– Bajesz, Maksimycz – rzekła kapitanowa – u Poleżajewa i tak ciasnota; on przecie jest moim kumem i pamięta, że jesteśmy jego władzą. Zaprowadź pana oficera... jak pańskie imię i imię rodzica pańskiego, dobrodzieju?

– Piotr Andrieicz.

– Zaprowadź Piotra Andrieicza do Siemiona Kuzowa. Ten łotr wpuścił konia do mojego sadu. No i cóż, Maksimycz, czy wszystko w porządku?

– Wszystko, chwała Bogu, spokojnie – odrzekł Kozak – tylko kapral Prochorow pobił się w łaźni z Ustinią Niegulin o szaflik gorącej wody.

– Iwanie Ignaticzu – zwróciła się kapitanowa do jednookiego staruszka. – Rozsądź Prochorowa z Ustinią: kto ma słuszość, kto winien. I ukarz oboje. No, Maksimycz, idź sobie z Bogiem. Piotrze Andrieiczu, Maksimycz zaprowadzi pana na kwatere.

Pożegnałem się. Podoficer zaprowadził mnie do chaty stojącej na wysokim brzegu rzeki, na samym końcu twierdzy. Pół chaty zajmowała rodzina Siemiona Kuzowa, drugą połowę zająłem ja. Mieszkanie składało się z jednego pokoju, rozdzielonego przepierzeniem. Sawielicz zabrał się do porządków; ja – zacząłem wyglądać przez wąziutkie okienko. Przede mną ścielił się smutny step. Opodal stało kilka chat; po ulicy łąziło kilka kur. Staruszka,

stojąc z korytem na ganku, zwoływała świnię, które odpowiadały jej przyjaznym chrząkaniem. I oto w jakim miejscu sądzone mi było spędzić młodość! Smutek mnie ogarniał; odszedłem od okienka i położyłem się spać bez wieczerzy, mimo namów Sawielicza, który powtarzał z wyrzutem: „Panie święty! Nic nie chce jeść. Co pani powie, gdy dziecko zachoruje?”

Nazajutrz rano, skorom tylko zaczął się ubierać, drzwi otwały się i wszedł do mnie młody oficer niewysokiego wzrostu, o smagłej, wyjątkowo nieładnej, lecz nader ożywionej twarzy.

– Proszę mi wybaczyć – odezwał się po francusku – że tak bez ceremonii przyszedłem zawrzeć z panem znajomość. Dowiedziałem się wczoraj o pańskim przyjeździe; pragnienie ujżenia nareszcie ludzkiego oblicza tak mnie opanowało, że nie mogłem dłużej zwlekać. Zrozumie to pan, gdy pobędzie tu czas niejaki.

Domyśliłem się, że to ów oficer usunięty z gwardii za pojedynek. Zaznajomiliśmy się natychmiast. Szwabrin był wcale niegłupi. Rozmowa z nim była dowcipna i zajmująca. Z humorem opisał mi rodzinę komendanta, jego otoczenie i miejscowość, do której rzuciły mnie losy. Śmiałem się z całego serca, gdy wszedł inwalida, który łątał mundur w przedsiönku, i zaprosił mnie na obiad w imieniu Wasilisy Jegorowny. Szwabrin oświadczył, że będzie mi towarzyszył.

Gdyśmy podchodzili do domu komendanta, ujrzelismy na placu ze dwudziestu starszków inwalidów z długimi harcapami i w trójgraniastych kapeluszach. Stali szeregiem. Na przedzie stał komendant, dziarski starzec wysokiego wzrostu w szlafmicy i chińskim szlafroku. Ujrzawszy nas, podszedł ku nam, powiedział kilka łaskawych słów i znów począł komenderować. Zatrzymaliśmy się, by popatrzeć na musztrę, lecz komendant prosił, byśmy szli do Wasilisy Jegorowny, obiecując przyjść niebawem. „A tu – dodał – nie ma na co patrzeć”.

Wasilisa Jegorowna przyjęła nas po prostu, serdecznie i zwróciła się do mnie, jakbyśmy się znali od wieków. Inwalida i Pałaszka nakrywali do stołu.

– Cóż to mój Iwan Kuźmicz tak się dziś zapracowuje! – rzekła pani komendantowa. – Pałaszka, proś pana na obiad. A gdzież to Masza?

W tej chwili weszła dziewczyna lat osiemnastu, okrągłolica, rumiana, z jasnobłond włosami zaczesanymi za uszy, które płonęły. Na pierwszy rzut oka niezbyt mi się podobała. Z uprzedzeniem patrzyłem na nią. Szwabrin odmalował przede mną Maszę, córkę kapitana, jako zupełną gąskę. Maria Iwanowna usiadła w kąciiku i zaczęła wyszywać. Podano tymczasem kapuśniak. Nie widząc męża, Wasilisa Jegorowna znów posłała Pałaszkę.

– Powiedz panu, goście przecie czekają, kapuśniak stygnie: musztra, chwała Bogu, nie ucieknie; zdąży jeszcze się wykrzyczeć.

Zjawił się nareszcie kapitan w towarzystwie jednookiego starszka.

– Cóż to, dobrodzieju – powiedziała żona – obiad od dawna na stole, a ciebie doprosić się nie można.

– A wiedz, mateczko – odparł Iwan Kuźmicz – służbą byłem zajęty: żołnierzyków uczyłem.

– Eh, bajki – zaprzeczyła kapitanowa. – Gadanie tylko, że uczysz żołnierzy: ani im służba w głowie, ani ty nie rozumiesz się na niej. Siedziałbyś w domu i modlił się, lepiej by było. Kochani goście, prosimy do stołu.

Zajęliśmy miejsca. Komendantowa nie zamykała ust ani na chwilę i zasypywała mnie pytaniami: kim są moi rodzice, czy żyją, gdzie mieszkają, jaki posiadają majątek. Dowiedziawszy się, że ojciec ma trzysta dusz, powiedziała:

– No, no, są jednak na świecie ludzie bogaci! A my, dobrodzieju, jedną tylko mamy dziewczkę, Pałaszkę, a jednak, chwała Bogu, żyjemy jakoś. Jedno tylko strapienie: Masza – panna na wydaniu, a jakież ma posag? Gęsty grzebień, miotła, trojak w kieszeni (Boże odpuść!), tyle, ile trzeba, by pójść do łaźni! Dobrze, jeśli Bóg zdarzy dobrego człowieka, a

nie, to siedź przez wieki wieczne w staropanieństwie.

Spojrzałem na Marię Iwanownę. Spłonęła cała i nawet łza kapnęła na jej talerz. Żal mi się jej zrobiło i śpiesznie zmieniłem temat rozmowy.

– Słyszałem – rzekłem dość nie w porę – że na twierdzę naszą mają zamiar napaść Baszkirzy.

– Od kogo, dobrodziej, raczyłeś to słyszeć? – spytał Iwan Kuźmicz.

– Mówiono mi to w Orenburgu – odparłem.

– Bzdury! – rzekł komendant. – Od dawna już u nas nic nie słychać. Baszkirzy – lud strachliwy, a i Kirgizi dostali nauczki. Nie ma strachu, nie porwą się na nas; a gdyby się ośmielili, tak im nasolę, że na lat dziesięć uspokoję.

– I pani nie boi się – mówiłem dalej, zwracając się do kapitanowej – siedzieć w twierdzy na tyle narażonej niebezpieczeństw?

– Przyzwyczajenie, dobrodziej – odparła. – Lat temu dwadzieścia, gdy nas tu z pułku przenieśli, bałam się tych pogan przeklętych, że nie daj Boże! Gdy ujrzę, bywało, rysie czapki, gdy jeszcze usłyszę wycie, aż serce zamiera, wierz mi, dobrodziej! A teraz takem przywykła, że z miejsca się nie ruszę, gdy mi kto przyjdzie powiedzieć, że zbóje koło twierdzy myszkują.

– Wasilisa Jegorowna to dama nader odważna – zauważył z powagą Szwabrin. – Iwan Kuźmicz może zaświadczyć o tym.

– Tak, słusznie – rzekł Iwan Kuźmicz – baba, jakich mało.

– A Maria Iwanowna? – spytałem. – Czy równie odważna jak pani?

– Czy Masza odważna? – odparła kapitanowa. – Nie, z Maszy tchórz. Dotychczas nie znosi strzałów: aż się cała trzęsie. A gdy lat temu dwa zachciało się Iwanowi Kuźmiczowi walić z armaty na moje imieniny, omal nie umarła ze strachu, gołąbeczka moja. Odtąd nie strzelamy już z przeklętej armaty.

Wstaliśmy od stołu. Kapitan i kapitanowa udali się na poobiednią drzemkę; ja poszedłem do Szwabrina i spędziłem z nim cały wieczór.

Rozdział czwarty

Pojedynek

*– Więc, jeśli łaska, idź i stań tam w pozyturę.
Zobaczysz, jak przekłuję mizerną twą figurę.*
Kniaźnin

Minęło kilka tygodni i życie w twierdzy Biełogorskiej stało się dla mnie nie tylko znośne, lecz nawet przyjemne. W domu komendanta przyjęto mnie jak swojego. Mąż i żona byli ludźmi nader szanownymi. Iwan Kuźmicz, który dosłużył się rangi oficerskiej od prostego żołnierza, był człowiekiem niewykształconym, lecz bardzo uczciwym i dobrym. Żona rządziła nim, co zgadzało się z jego ospałym nieco charakterem. Na sprawy urzędowe Wasilisa Jegorowna zapatrywała się jak na swoje gospodarskie i rządziła twierdzą jak własnym domem. Maria Iwanowna przestała wkrótce ode mnie stronić. Zaznajomiliśmy się z, sobą. Znalazłem w niej uczuciową i rozsądną dziewczeczkę. Stopniowo przywiązałem się do tych dobrych ludzi, nawet do Iwana, Ignaticza, jednookiego porucznika garnizonowego, o którym Szwabrin mówił, że żyje w grzesznym związku z Wasilisą Jegorowną, w czym nie było ani cienia prawdy. Lecz o to Szwabrin nie dbał.

Awansowano mnie na oficera. Służba niezbyt mi ciążyła. W pozostawionej na boskiej opiece twierdzy nie znano ani przeglądów, ani musztr, ani szyldwachów. Komendant z własnej ochoty uczył czasem żołnierzy, lecz nie mógł sprawić, ażeby wszyscy wiedzieli, która strona prawa, która lewa, choć wielu z nich przed każdym zwrotem dla uniknięcia pomyłki zęgało się znakiem krzyża. Szwabrin miał kilka francuskich książek. Wziąłem się do czytania i zbudziło się we mnie zamiłowanie do literatury. Rankiem czytałem, ćwiczyłem się w tłumaczeniu, a czasem nawet w tworzeniu wierszy, obiad prawie zawsze jadłem u komendanta, gdzie zazwyczaj pozostawałem już do końca dnia; wieczorem wstępował tam czasem ojciec Gierasim z żoną Akuliną Pamfilówną, pierwszą w okolicy nowiniarką. Z Aleksym Iwanyczem Szwabrinem widywałem się, naturalnie, co dzień, lecz rozmowa z nim z każdym dniem sprawiała mi coraz mniej przyjemności. Ciągłe żarty, jakie stroił z rodziny komendanta, bardzo mi się nie podobały, zwłaszcza uszczypliwe uwagi o Marii Iwanownie. Innego towarzystwa nie było w twierdzy, lecz i ja go wcale nie pragnąłem.

Pomimo przepowiedni, Baszkirzy się nie zbuntowali. Spokój panował wokół naszej twierdzy.

Lecz spokój ten przerwany został przez nagły zatarg wewnętrzny.

Mówiłem już, że zajmowałem się literaturą. Jak na ówczesne czasy, moje próbki należały do niezgorszych i kilka lat później Aleksander Pietrowicz Sumarokow bardzo je chwalił. Udało mi się raz napisać piosenkę, z której byłem zadowolony. Wiadomo, że autorowie lubią

czasem pod pozorem prośby o radę zabiegać o życzliwego słuchacza. Tak więc, przepisawszy moją piosenkę, zaniósłem ją do Szwabrina, ponieważ tylko on w całej twierdzy mógł ocenić utwór rymopisa. Po krótkim przedśłowiu wyjąłem z kieszeni kajecik i przeczytałem mu te moje wierszyki:

Gdy mnie afekt dręczy srogi,
Co wciąż w sercu moim gości,
Pragnę, Maszo, zejść ci z drogi,
I o dawnej śnię wolności.

To twych oczu urok miły
Na uwięzi duszę trzyma,
One spokój mój zmaciły:
Zwyciężyłaś mnie oczyma!

Więc gdy serce jadem strute
Żar miłosnej trawi męki
Użał się mej doli lutej:
Zraniły mnie twoje wdzięki!

– Jakże ci się podoba? – spytałem Szwabrina oczekując pochwał, jako słusznie należnej mi daniny. Lecz ku wielkiemu mojemu niezadowoleniu Szwabrin, bardzo zwykle wyrozumiały, orzekł stanowczo, że piosenka moja jest zła.

– Dlaczegoż to? – spytałem hamując irytację.

– Ponieważ – odparł – wiersze takie godne są mojego nauczyciela Wasilia Kiryłłowicza Trediakowskiego i bardzo przypominają jego miłosne kuplety.

I wziąwszy ode mnie kajet, począł bez miłosierdzia nicować każdy wiersz, każde słowo, znęcając się nade mną najokrutniej. Straciłem cierpliwość, wyrwałem kajet i zapowiedziałem, że nigdy już nie pokażę mu moich utworów. Szwabrin i na tę pogroźkę odpowiedział śmiechem.

– Zobaczmy – rzekł – czy dotrzymasz słowa: rymopis nie obejdzie się bez słuchacza, jak Iwan Kuźmicz bez karafeczki wódki przed obiadem. Lecz któż to ta Masza, przed którą spowiadasz się z tkliwej namiętności i miłosnych katuszy? Czy to czasem nie Maria Iwanowna.

– Nie twoja rzecz – odparłem nachmurzony

– która to Masza. Niepotrzebne mi ani twoje zdanie, ani twoje domysły.

– Oho, pewny siebie rymopis i skromny kochanek! – ciągnął Szwabrin drażniąc mnie coraz bardziej. – Lecz posłuchaj rady przyjaciela: jeśli chcesz osiągnąć cel, radzę działać nie za pomocą piosenki.

– Co to znaczy, mój panie! Racz mi wyjaśnić.

– Chętnie. Jeśli chcesz, by Maria Iwanowna odwiedzała cię o zmierzchu, podaruj jej zamiast tkliwych wierszy parę kolczyków.

Krew zagrała we mnie.

– A na czym to opierasz taką o niej opinię?

– spytałem, z wysiłkiem hamując oburzenie.

– A na tym – odparł z szatańskim uśmiechem – że z doświadczenia znam jej zwyczaje i obyczaje.

– Łżesz, łotrze! – krzyknąłem rozwścieczony

– łżesz bezwstydnie! Szwabrin zmienił się na twarzy.

– To ci tak nie ujdzie na sucho – powiedział chwyciwszy mnie za ramię. – Żądam satysfakcji.

– Proszę, kiedy chcesz! – odparłem uradowany.

W tej chwili gotów byłem go rozszarpać. Udałem się natychmiast do Iwana Ignaticza i zastałem go z igłą w ręku; z poruczenia komendantowej nizał na nitkę grzyby do suszenia na zimę.

– A, Piotr Andrieicz! – zawołał ujrzawszy mnie. – Witam! Co pana tu sprowadza? Jaka sprawa, śmiem spytać.

W krótkich słowach wyjaśniłem mu, że pokłóciłem się z Aleksym Iwanyczem, jego zaś, Iwana Ignaticza, proszę na sekundanta. Iwan Ignaticz słuchał mnie uważnie, wytrzeszczając swoje jedno oko.

– Chce pan powiedzieć – rzekł – że pragnie pan zakłuć Aleksego Iwanycza i życzy sobie, bym ja był świadkiem? Czy tak, śmiem spytać.

– Tak, istotnie.

– Zmiłuj się, Piotrze Andrieiczu! Cóż to pan przedsięwziął! Wielka rzecz! Kłótnia – to mucha. Obraził pana – niech go pan zwymyśla; on pana w pysk, a pan go w ucho, raz i drugi – i każdy w swoją drogę; a my już was pogodzimy. Bo czy to godna rzecz zakłuć bliźniego swego, ośmielę się zapytać. I gdybyż to pan go zakłuł. – Bóg z nim; ja również nie gamę się do niego. No, a jeśli on pana przedziurawi? Do czegoż to będzie podobne? Kto wyjdzie na głupca, śmiem zapytać.

Wywody roztropnego porucznika nie przekonały mnie. Trwałem w moim zamiarze.

– Jak pan sobie życzy – rzekł Iwan Ignaticz – czyń pan, jak chcesz. Lecz po cóż mnie brać na świadka? Z jakiej racji? Ludzie wodzą się za łby, cóż za dziwo, śmiem spytać. Chodziłem, chwała Bogu, i na Szweda, i na Turka: napatrzyłem się wszystkiego.

Jałem piąte przez dziesiąte wykladać mu o obowiązkach sekundanta, lecz Iwan Ignaticz ani rusz nie mógł mnie zrozumieć.

– Jak pan chce – rzekł – jeśli już ja mam wtrącać się do tej sprawy, to chyba powinienem pójść do Iwana Kuźmicza i z obowiązku służbowego zawiadomić go, że w twierdzy szykuje się zabójstwo, szkodliwe dla interesów rządu; czy nie raczy pan komendant zastosować odpowiednich środków zapobiegawczych?

Zląkłem się i zacząłem prosić Iwana Ignaticza, żeby nic nie mówił komendantowi; z trudem ubłagałem go: dał mi słowo i rozstałem się z nim.

Wieczór spędziłem zwykłym trybem u komendanta. Starałem się być wesołym i obojętnym, żeby nie wzbudzić żadnych podejrzeń i unikać drażliwych pytań; lecz – przyznam się – nie miałem tej zimnej krwi, którą chwałą się zazwyczaj ci, co się znajdują w mojej sytuacji. Tego wieczoru nastrojony byłem tkliwie i serdecznie. Maria Iwanowna podobała mi się bardziej niż zwykle. Myśl, że widzę ją może po raz ostatni, dodawała jej w moich oczach tkliwego uroku. Szwabrin zjawił się również. Odciągnąłem go na stronę i zawiadomiłem o mojej rozmowie z Iwanem Ignaticzem. „Po cóż nam sekundanci? – powiedział sucho – obejdziemy się bez nich”. Umówiliśmy się, że spotkanie nastąpi za stogami znajdującymi się w pobliżu twierdzy i że stawimy się tam nazajutrz o siódmej rano. Rozmawialiśmy pozornie tak po przyjacielsku, że Iwan Ignaticz wygadał się z radości.

– Trzeba było tak od razu – rzekł do mnie z miną zadowoloną – lepszy słomiany pokój niż złota wojna, a choć niehonorowo, lecz zdrowo.

– Co, co. Iwanie Ignaticzu? – rzekła komendantowa, zajęta w kąciku stawianiem kabały – nie dosłyszałam.

Zauważywszy u mnie oznaki niezadowolenia i przypomniawszy sobie daną obietnicę. Iwan Ignaticz zmieszał się i nie wiedział, co odpowiedzieć. Szwabrin wyręczył go.

– Iwan Ignaticz – rzekł – pochwała naszą zgodę.

– Aż kim to się pogniewałeś, dobrodzieju?

– Posprzeczaliśmy się dość gwałtownie z Piotrem Andrieiczem.

– O cóż to?

- O zwykłą bzdurę: o piosenkę.
- Mielście się też o co sprzeczać! O piosenkę... Jak też to było?
- A tak: Piotr Andrieicz ułożył niedawno piosenkę i dziś zaśpiewał ją u mnie, a ja z kolei zanuciłem swoją ulubioną:

Córko kapitana, oto głos mój szczery:
Źle jest chodzić nocą samej na spacer.

Stąd awantura. Piotr Andrieicz rozzłościł się na razie, lecz uznał potem, że każdemu wolno śpiewać, co mu się podoba. Na tym się rzecz, skończyła.

Bezwstyd Szwabrina oburzył mnie, lecz nikt poza mną nie zrozumiał jego ordynarnej aluzji; nikt w każdym razie nie zwrócił na nią uwagi. Od piosenek rozmowa zesłała na rymopisów i komendant zauważył, że wszyscy są ludźmi bez piątej klepki i piją na umór, i po przyjacielsku radził mi porzucić rymy, jako rzecz przeciwną dobru służby i nie prowadzącą do niczego rozsądnego.

Obecność Szwabrina była dla mnie nieznośna. Wprędce pożegnałem się z komendantem i jego rodziną i po powrocie do domu opatrzyłem swą szpadę, wypróbowałem ostrze, po czym położyłem się spać, nakazując Sawieliczowi zbudzić mnie przed siódmą.

Nazajutrz w oznaczonym czasie stałem już za stogami, oczekując mojego przeciwnika. Wkrótce stawił się i on. „Mogą nas tu podpatrzeć – rzekł – trzeba się spieszyć”. Zdjęliśmy mundury i pozostawiliśmy tylko w kamizelkach, obnażyliśmy szpady. W tej chwili spoza stogów ukazał się Iwan Ignaticz na czele pięciu inwalidów. Wezwał nas do komendanta. Jakkolwiek zirytowani, byliśmy posłuszni; żołnierze otoczyli nas i ruszyliśmy za Iwanem Ignaticzem, który wiódł nas triumfalnie z zadziwiającą powagą.

Weszliśmy do domu komendanta. Iwan Ignaticz otworzył drzwi oznajmiając uroczyście:

„Przyprowadziłem!” Spotkała nas Wasilisa Jegorowna. „Ach, dobrodzieje moi! Do czego to podobne? Jak? Co? W naszej twierdzy zabójstwo! Iwanie Kuźmiczu! Natychmiast do aresztu ich! Piotrze Andrieiczu! Aleksy Iwanyczu! Dajcie no tu swoje szpady, dajcie, dajcie. Pałaszka, zanieś te szpady do komórki. Piotrze Andrieiczu! Nie spodziewałam się tego po tobie. Jak ci nie wstyd? Mniejsza o Aleksego Iwanycza: on za zabójstwo wydalony był z gwardii, a i w Pana Boga nie wierzy; lecz ty? Chcesz iść jego drogą?”

Iwan Kuźmicz w zupełności zgadzał się ze swą małżonką, dogadując: „Słusznie, Wasilisa Jegorowna prawdę mówi. Regulamin wojskowy formalnie zakazuje pojedynków”. Pałaszka tymczasem wzięła nasze szpady i zaniósła je do komórki. Nie mogłem nie roześmiać się. Szwabrin zachował powagę. „Pomimo całego szacunku, jaki żywię dla pani – rzekł zimno do komendantowej – nie mogę nie zauważyć, że próżno trzodzi się pani, sądząc nas. Proszę to pozostawić Iwanowi Kuźmiczowi: to jego sprawa”. „Ach, dobrodzieju – zaprzeczyła komendantowa – zali mąż i żona to nie jedno ciało i duch jeden? Iwanie Kuźmiczu, czego się gapisz? Natychmiast posadź ich o chlebie i wodzie w różnych kątach, aby głupstwa wywietrzały im z głowy; i niech ojciec Gierasim nałoży na nich pokutę, żeby prosili Boga o przebaczenie i kajali się przed ludźmi”.

Iwan Kuźmicz nie wiedział, na co ma się zdecydować. Maria Iwanowna była blada jak opłatek. Pomału burza ucichła: komendantowa udobruchała się i zmusiła nas, byśmy ucałowali się wzajemnie. Pałaszka przyniosła szpady z powrotem. Wyszliśmy od komendanta, pogodzeni na pozór. Iwan Ignaticz towarzyszył nam. „Jak panu nie wstyd – rzekłem doń gniewnie – donosić komendantowi, gdy dał mi pan słowo tego nie czynić?”

„Klnę się na Boga, nic nie mówiłem komendantowi – odparł. – Wasilisa Jegorowna wyciągnęła wszystko ze mnie. I ona to zarządziła wszystko bez wiedzy męża. Chwała Bogu zresztą, że się na tym skończyło”. Z tymi słowy zawrócił do domu. Szwabrin i ja pozostaliśmy sam na sam. „Sprawa nasza nie może tak się skończyć” – rzekłem doń.

„Rozumie się – odparł Szwabrin – zapłaci pan krwią za swoje zuchwalstwo; lecz zapewne będą nas śledzić. Przez kilka dni musimy udawać. Do widzenia!” I rozstaliśmy się jak gdyby nigdy nic.

Po powrocie do komendanta przysiadłem się do Marii Iwanowny. Iwana Kuźmicza nie było w domu. Wasilisa Jegorowna zajęta była gospodarstwem. Rozmawialiśmy półgłosem. Maria Iwanowna robiła mi delikatne wyrzuty za niepokój, jakiego doznali wszyscy z powodu mojej kłótni ze Szwabrinem.

– Aż zamarłam ze strachu – rzekła – gdy nam powiedziano, że macie zamiar bić się na szpady! Jacyście wy, mężczyźni, dziwni! O jedno jedyne słówko, o którym po tygodniu zapomnieliby, gotowi są rznąć się i stawiać na kartę nie tylko życie, lecz i sumienie, i szczęście tych, którzy... Lecz jestem pewna, że nie pan wywołał zajście. Winien jest na pewno Aleksy Iwanowicz.

– A dlaczego tak pani myśli, Mario Iwanowno?

– Tak jakoś, z niego taki wyśmiewca! Nie lubię Aleksego Iwanycza. Mam wstręt do niego, lecz, dziwna rzecz, za nic nie chciałabym, żebym i ja mu się nie podobała. Strasznie by mnie to niepokoiło.

– A jak pani sądzi: podoba mu się pani czy nie?

Maria Iwanowna zmieniła się i zaczerwieniła.

– Zdaje mi się... – rzekła – sądzę, że podobam mu się.

– Z czego pani to wnosi?

– Ponieważ starał się o mnie.

– Starał się! On starał się o panią? Kiedyż to?

– W zeszłym roku, na dwa miesiące przed przyjazdem pana.

– I odmówiła mu pani?

– Jak pan raczy widzieć. Aleksy Iwanycz jest bez wątpienia rozumnym człowiekiem i z dobrej pochodzi rodziny; jest przy tym majątny, lecz gdy pomyślę, że przy ślubie trzeba pocałować go przy wszystkich... za nic w świecie! Za żadne skarby!

Słowa Marii Iwanowny otwały mi oczy i wiele spraw wyjaśniły. Zrozumiałem uporczywą złośliwość, z jaką mścił się na niej Szwabrin. Zauważył on zapewne naszą wzajemną skłonność i starał się oderwać nas od siebie. Słowa, które stały się przyczyną naszej kłótni, wydały mi się jeszcze bardziej haniebne, gdy zamiast brutalnego, nieprzystojnego żartu spostrzegłem w nich zamierzone oszczerstwo. Chęć ukarania zuchwałego oszczercy wzmogła się we mnie i z niecierpliwością wyczekiwałem odpowiedniej sposobności.

Czekałem niedługo. Nazajutrz, gdy siedziałem nad elegią i gryzłem pióro w pogoni za rymem, Szwabrin zapukał do mego okienka. Odłożyłem pióro, wziąłem szpadę i wyszedłem. „Po cóż odkładać? – rzekł – nie pilnują nas. Zejdziemy ku rzece. Tam nikt nam nie przeszkodzi”. Ruszyliśmy milcząco. Zeszedłszy urwistą ścieżką, zatrzymaliśmy się tuż nad rzeką i obnażyliśmy szpady. Szwabrin był lepiej wyćwiczony we władaniu bronią, lecz ja górowałem nad nim siłą i śmiałością, zaś Mr. Beaupre, niegdyś żołnierz, udzielił mi kilku lekcji fechtunku, które mi się teraz bardzo przydały. Nie spodziewał się Szwabrin znaleźć we mnie tak niebezpiecznego przeciwnika. Długo żaden, z nas nie mógł zadać ciosu drugiemu; zauważywszy wreszcie, iż Szwabrin słabnie, żywo zacząłem nań następować i przyparłem go niemal do samej rzeczki. Nagle usłyszałem moje imię wykrzyknięte donośnym głosem. Obejrzałem się i ujrzałem biegnącego ku mnie z góry Sawielicza... W tejże chwili kolnęło mnie coś w pierś poniżej prawego ramienia i padłem na ziemię bez przytomności.

Rozdział piąty

Miłość

*Ach, ty dziewczę, dziewczę krasne,
Nie idź, dziewczę, wcześniej za mąż;
Spytaj, dziewczę, ojca matki,
Ojca, matki .wszystkich krewnych.
Uciulaj, dziewczę, rozsądku–rozumu.
Rozsądku–rozumu na posag sobie.*

Pieśń ludowa

*Jeśli znajdziesz lepszego ode mnie – zapomnisz,
Jeśli znajdziesz gorszego ode mnie – to wspomnisz.*

Pieśń ludowa

Gdym się ocknął, nie mogłem przez pewien czas oprzytomnieć i nie rozumiałem, co się ze mną stało. Leżałem na łóżku w nie znanej izbie i czułem wielkie osłabienie. Przedemną stał Sawielicz ze świeczką w ręku. Ktoś troskliwie rozwijał bandaż, opasujące mi pierś i prawe ramię. Stopniowo myśli mi się rozjaśniły. Przypomniałem sobie o pojedynku i domyśliłem się, że jestem ranny. W tej chwili skrzypnęły drzwi.

– No co? Jak tam? – wyszeptał głos, na którego dźwięk zadrzałem.

– Wciąż jednak – odparł z westchnieniem Sawielicz – wciąż bez przytomności, ot, już piąty dzień. Chciałem odwrócić się, lecz nie mogłem.

– Gdzie jestem? Kto tu przy mnie? – rzekłem z wysiłkiem.

Maria Iwanowna podeszła do mojego łóżka i schyliła się nade mną.

– Cóż? Jak pan się czuje?

– Chwała Bogu – odparłem słabym głosem.

– To pani, Mario Iwanowno? Proszę mi powiedzieć... – zbrakło mi sił i zamilkłem.

Sawielicz jęknął. Radość rozjaśniła mu oblicze.

– Oprzytomniał! Oprzytomniał! – powtarzał.

– Chwała ci, Panie! Ach, dobrodzieju Piotrze Andrieiczu, nastraszyłeś mnie nie na żarty! Piąty dzień!...

Maria Iwanowna przerwała mu.

– Nie mów z nim dużo, Sawielicz – rzekła – jest jeszcze słaby.

Wyszła z pokoju i cichutko przymknęła drzwi. Myśli w mej głowie kłębiły się. A więc byłem w domu komendanta, Maria Iwanowna odwiedzała mnie. Chciałem zadać